



KOMPANIE WARTOWNICZE 1946-1967

W 1945 r. w okupowanych przez wojska alianckie Niemczech znajdowała się półtoramilionowa grupa Polaków: robotników przymusowych, więźniów obozów, jeńców wojennych i uchodźców. Osoby te, określane mianem dipisów (Displaced Persons – ludzie bez miejsca), w większości nie miały zamiaru wracać do okupowanej przez Sowiety Polski. Dla wielu, zwłaszcza pochodzących z Kresów Wschodnich, możliwość „repatriacji” po prostu nie istniała. Zakwaterowani w obozach uchodźców bez pracy i normalnej egzystencji mogli jedynie czekać na legalną emigrację do któregoś z państw Europy Zachodniej lub Ameryki. Wierzyli, że ich gorzki emigracyjny los może odmienić zwycięska wojna zachodnich mocarstw ze Związkiem Sowieckim i nie zamierzali beczynn timer czekać na to, co przyniesie przyszłość.

Polskie serce pod obcym mundurem

Wojciech Jerzy Muszyński,
BEP IPN

W połowie 1945 r. w środowisku polskich uchodźców na terenie zachodnich Niemiec z uznaniem przyjęto inicjatywę powołania u boku wojsk amerykańskich polskich formacji pomocniczych – Labor Services (Guard) do zadań wartowniczych, technicznych i transportowych.

Przechodzące na stopę pokojową wojska amerykańskie potrzebowały tysięcy ludzi do pilnowania instalacji wojskowych, magazynów, obozów je-

nieckich, więzień, biur wojskowych i cywilnych przedstawicieli mocarstw zachodnich. Tworzenie polskich Kompanii Wartowniczych pozwalało na zdemobilizowanie i powrót za ocean dziesiątków tysięcy Amerykanów. Dla dowództwa alianckiego istotne było także stworzenie pozbawionym środków do życia uchodźcom możliwości zatrudnienia oraz wsparcie amerykańskiej żandarmerii w walce z plagą przestępczości, która dotknęła okupowane Niemcy. Ważna była także terapeutycz-

na funkcja służby: więźniowie i robotnicy przymusowi przez lata poniżani przez Niemców mogli nareszcie poczuć, że przestali być ludźmi pogardzanymi i stanowią istotny składnik sił koalicyjnych.

Początki

Wielu Polaków zaciągających się do służby u boku US Army miało nadzieję, że w momencie wybuchu konfliktu z Sowietami będą mogli z bronią w ręku jako pierwsi znaleźć się w wyzwala-



Odznaka honorowa kompanii wartowniczych z certyfikatem por. NSZ Jerzego Jaksy-Maderskiego

nej Polsce. Nadzieje te były nieoficjalnie podtrzymywane także przez czynniki amerykańskie, które, licząc się z możliwością konfliktu Wolnego Świata z Moskwą, dawały sygnały, że powstające oddziały to rodzaj ukrytej pod szyldem służby pomocniczej polskiej siły zbrojnej. Oprócz masowego napływu ochotników w skład formacji weszła w całości Brygada Świętokrzyska, zgrupowanie partyzanckie NSZ, które przedostało się z Polski do zachodnich Czech, gdzie w kwietniu 1945 r. połączyło się z Armią Amerykańską.

Proces powstawania oddziałów wartowniczych był spontaniczny, kompanie tworzone z inicjatywy poszczególnych dowódców amerykańskich, od szczebla dywizji wzywyż, co powodowało, że nie istniały jednolite dowództwo ani struktura organizacyjna. W zależności od potrzeb, były to jednostki w sile kompanii, batalionu, a w jednym wypadku nawet cały pułk wartowniczy. Praktyka wykazała, że najefektywniejszy do zadań wartowniczych był oddział w sile kompanii i większe jednostki uległy podziałowi. Kompanie, formowane według etatów anglosaskich liczyły każda ośmiu oficerów oraz 252 podoficerów i szeregowych.

Na początku nie było regulaminów, norm i przepisów, np. dotyczących umundurowania, stąd panowała atmosfera pełnej improwizacji. Sprawy techniczne i wyszkolenia pozostawiano w rękach polskiej kadry oficerskiej, natomiast Amerykanie ograniczali się do ogólnego nadzoru i wyznaczania jednostkom konkretnych zadań. Żołnierze-wartownicy mieli prawo noszenia polskich insygniów wojskowych: orzełków na hełmach i furażerkach, naszywek „Poland” czy proporczyków

w barwach narodowych, obowiązywała polska komenda, a przy przyjmowaniu do służby honorowano polskie stopnie wojskowe, w tym oficerskie. Z biegiem czasu postępował jednak proces unifikacji kompanii, ograniczono prawo do używania dystynkcji i symboliki narodowej. Wśród polskich formacji wartowniczych wyróżniał się zwłaszcza oddział kawalerii – jednak w 1947 r. dowództwo amerykańskie uznało, że bardziej efektywne od konnych będą samochodowe patrole drogowe.

Stabilizacja

Wraz z rozwojem polskich formacji wartowniczych zaczęto tworzyć także ośrodki szkoleniowe. Pierwszym i największym było powstałe w 1946 r. Centrum Szkoleniowe im. T. Kościuszki w Kaefertal koło Mannheim. Przeszkolono tam 133 kompanie wartownicze – łącznie ponad 40 tys. wartowników. Rozrastająca się formacja miała kilka ośrodków dowodzenia, których zadaniem było pośredniczenie w kontaktach między amerykańskim dowództwem a polskimi jednostkami w Niemczech. W toku kolejnych reorganizacji ośrodkiem kierowniczym polskich formacji stała się Główna Sekcja Łącznikowa, która od kwietnia 1947 r. podlegała bezpośrednio Dowództwu Amerykańskich Sił Zbrojnych w Europie. Funkcję jej szefa i nominalnie dowódcy Polskich Kompanii Wartowniczych pełnił płk Franciszek Sobolta (1898–1963), przed wojną dowódca 61. Pułku Piechoty, kawaler Krzyża Wojennego Vir-tuti Militari. W praktyce jednak Główna Sekcja Łącznikowa, podobnie jak agendy Rządu RP na Wychodźstwie, nie miały większego wpływu na działalność kompanii.

Polski personel cieszył się dobrą opinią u swoich zwierzchników. Podkreślano morale polskich oddziałów wartowniczych i ich wysoki poziom wyszkolenia osiągnięty w niezwykle krótkim czasie. Przypadki demoralizacji w ich szeregach należały do wyjątków. Dlatego jedynie polskie formacje otrzymały broń i zostały skierowane do aktywnej służby porządkowej i wartowniczej. Próby tworzenia kompanii innych narodowości początkowo nie zostały uwieńczone sukcesem, np. liczące 3,5 tys. ludzi oddziały złożone z Łotyży i Estończyków (Baltic Guard Companies) skierowano do prac budowlanych. W 1947 r. Amerykanie byli skłonni zarzucić program utrzymywania cudzoziemskich kompanii wartowniczych i rozwiązać wszystkie istniejące, w tym polskie. Redukcję wstrzymała jednak sowiecka blokada Berlina w 1948 r. Masowo tworzone wówczas nowe kompanie z ochotników pochodzących zza żelaznej kurtyny i dozbrajano już istniejące. Obok polskich powstały liczne jednostki niemieckie, czeskie, bałtyckie, ukraińskie, bułgarskie, a nawet jedna albańska.

Sukces, jakim okazała się działalność Polskich Kompanii Wartowniczych, zachęcił Amerykanów do większego wykorzystania Polaków w służbach pomocniczych przy US Army. W latach 1947–1951 w Belgii i Francji działało sześć kompanii samochodowych stanowiących zaplecze logistyczne przy porządkowaniu miejsc spoczynku i ekshumowaniu ciał poległych Amerykanów. Od 1950 do 1967 r. na terenie Francji pełniło służbę kilka polskich kompanii stanowiących ochronę obiektów NATO.

Nie dysponujemy pełnymi danymi o liczebności polskich kompanii – wiadomo, że na skutek dużej rotacji (zwłaszcza w latach 1945–1949) przez ich szeregi przeszły dziesiątki tysięcy ludzi. O masowości zaciągu świadczą zachowane statystyki: na początku 1946 r. w kompaniach wartowniczych służyło według amerykańskich szacunków ok. 40 tys. ochotników. W sierpniu 1947 r., po pierwszych redukcjach, było ich blisko 28 tysięcy. W marcu 1948 r., na skutek emigracji, ich liczebność zmniejszyła się do ok. 11,6 tysiąca. Jednak na miejsca opuszczających służbę przychodzili stale nowi ochotnicy: zdemobilizowani żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, uciekinierzy zza żelaznej kurtyny czy członkowie podziemia antykomunistycznego – służyła w kompaniach była naturalnym przedłużeniem ich dotychczasowej walki.

Na przełomie 1949 i 1950 r., po kryzysie polskich formacji wywołanym masową emigracją, część polskich kompanii uległa rozformowaniu. Jednak w następnych latach sytuacja ustabilizowała się, a stany oddziałów ponownie zaczęły się powiększać. W ramach uzupełnień w szeregi polskich



W początkowym okresie nie było koszar. Żołnierze kompanii wartowniczych kwaterowali w obozach namiotowych

oddziałów wcielano w ograniczonej liczbie także osoby innych narodowości. W tamtym okresie na terenie Niemiec i Francji pełnili służbę 22 polskie kompanie.

Warunki służby

Służba w kompaniach wartowniczych miała charakter mało spektakularny – warty, patrole drogowe, eskortowanie konwojów z materiałem wojskowym. „Służba – wspominał jeden z żołnierzy – nie była ciężka w fizycznym sensie tego słowa. Dwa razy w ciągu doby miało się po cztery godziny warty przy wojskowych magazynach lub innych urządzeniach. Najgorsza była nuda tych godzin spędzonych na bezmyślnym chodzeniu tam i z powrotem”.

Formacje wartownicze w pierwszym okresie nosiły mundury amerykańskie ufarbowane na kolor czarny, co miało odróżniać wartowników od żołnierzy regularnej armii. W czasie służby strój uzupełniały pasy i hełmy w kolorze białym. W 1952 r. stacjonujące w Niemczech kompanie otrzymały nowy wzór mundurów w kolorze szaroniebieskim oraz hełmy z białym otokiem i literami CG (Civilian Guard). Kompanie znajdujące się od 1950 r. na terenie Francji przez cały okres swojej działalności wyposażone były w standardowe amerykańskie umundurowanie wojskowe. Odznaki stopni, początkowo według polskich wzorów, od 1946 r. zastąpiono dystynkcjami amerykańskimi, z tą różnicą, że miały one kolor czerwony.

Polscy wartownicy w amerykańskich mundurach w rzeczywistości mieli status cywilów wynajętych przez wojsko do określonych zadań. Ich praca nie była chroniona zbiorowym kontraktem – każdy mógł być zwolniony z dwutygodniowym okresem wypowiedzenia, nie przysługiwały im przywileje, które miał personel amerykański, np. ubezpieczenie socjalne, w pierwszych latach

nie posiadali nawet dostępu do amerykańskiej służby zdrowia. Prawo takie otrzymali dopiero w 1955 r., choć nie dotyczyło ono już ich rodzin. Nawet wyżywienie, które otrzymywali polscy wartownicy (kategoria B), było uboższe od racji żywnościowych regularnych oddziałów amerykańskich (kategoria A). Innym przykładem dyskryminacji była sprawa pensji, która w przypadku polskiego wartownika wynosiła 1/5 tego, co na takim samym stanowisku otrzymywał jego amerykański odpowiednik.

Po służbie

Norymberga, Kaiserslautern, Mannheim, Ludwigsburg, Regensburg, Brema i wiele innych miejsc zakwaterowania polskich kompanii wartowniczych stało się ważnymi ośrodkami życia społecznego Polonii. W ośrodkach tych pracowali polscy księża, którzy prowadzili wśród wartowników i ich rodzin akcję ewangelizacyjną i wychowawczą. Staraniem wartowników w Kaiserslautern powstał kościół pw. św. Stanisława Biskupa, a w innych ośrodkach wydowano kaplice. W ramach szkolenia prowadzono kursy kształceniowe, które pozwoliły wielu żołnierzom zdobyć wykształcenie w zakresie szkoły podstawowej, nauki zawodu czy gimnazjum. Prowadzono też szkółki dla dzieci polskich. Rozwijała się działalność kulturalna: w każdym z ośrodków były świetlice i biblioteki, działały chóry i orkiestry, często na wysokim poziomie artystycznym.

Od 1946 r. ukazywała się dwa, a następnie trzy razy w tygodniu gazeta dla oddziałów wartowniczych „Ostatnie Wiadomości”. Kwitło życie sportowe. Wiele sukcesów w Niemczech i Francji odniosły drużyny piłkarskie złożone z wartowników, zwłaszcza powstały jeszcze w 1945 r. klub „Polonia”. Urządzano zawody lekkoatletyczne, bokser-

Polscy wartownicy pełniący straż w więzieniach i obozach dla niemieckich zbrodniarzy wojennych często szorstko obchodzili się ze swoimi więźniami. Na „szczególne” traktowanie mogli liczyć zwłaszcza ci przestępcy, którzy wsławili się brutalnością na terenach Polski. Był wśród nich np. SS-Oberführer Oskar Dirlewanger, znany ze swego sadyzmu i okrucieństwa kat mieszkańców Warszawy w okresie powstania. Według jednej z relacji, cytowanych przez historyka Francha L. Macleana, Dirlewanger był w 1945 r. trzymany we francuskim więzieniu w Altshausen, gdzie strażnikami byli Polacy. I to oni właśnie, zdaniem współwięźnia, oficera Luftwaffe, który był autorem tej relacji, mieli przyczynić się do zgonu Dirlewangera (7 VI 1945 r.), aplikując mordercy częste bicie i gimnastykę.

skie, koszykówki itp. Powołano Fundusz Społeczny mający na celu pomoc w edukacji członków oddziałów wartowniczych, opiekę nad kolegami dotkniętymi nieszczęściem i wspieranie uczącej się młodzieży. Fundusz wspierał także finansowo Polski Uniwersytet na Obczyźnie oraz przyznawał specjalne nagrody literatom, plastynom i naukowcom. Wśród laureatów byli m.in. pisarze Jerzy Stempowski, Waław Grubiński i Kazimierz Wierzyński.

Polskie kompanie wartownicze funkcjonowały ponad 22 lata, choć z czasem zaczęto stopniowo redukować ich liczbę. Pod koniec lat 50. jednostki były przekształcane w Oddziały Służby Technicznej i w tej postaci funkcjonowały do 1967 r. Wówczas zostały one ostatecznie zlikwidowane, ale część byłych wartowników nadal była zatrudniona jako personel techniczny w bazach amerykańskich.

Istnienie polskich kompanii wartowniczych to zapomniany dziś pierwszy polski wkład w działalność NATO i bezpieczeństwo Wolnego Świata. Żołnierze-wartownicy po zakończonej służbie w większości pozostali na Zachodzie, głównie w Niemczech, Francji, Wielkiej Brytanii oraz Stanach Zjednoczonych. Stworzyli silne środowisko kombatanckie wśród niepodległościowej Polonii. Odbywające się co kilka lat zjazdy byłych wartowników stanowiły manifestację wiary w odzyskanie niepodległości przez Polskę. ■

Sukces, jakim okazała się działalność Polskich Kompanii Wartowniczych, zachęcił Amerykanów do większego wykorzystania Polaków w służbach pomocniczych przy US Army. W latach 1947–1951 w Belgii i Francji działało sześć kompanii samochodowych stanowiących zaplecze logistyczne przy porządkowaniu miejsc spoczynku i ekshumowaniu ciał poległych Amerykanów. Od 1950 do 1967 r. na terenie Francji pełniło służbę kilka polskich kompanii stanowiących ochronę obiektów NATO.

Pod znakiem Jaszczurki

Grzegorz Ostasz,
Politechnika Rzeszowska

W pojałtańskiej rzeczywistości sprawa polska wyglądała źle: ZSRR – niedawny „sojusznik naszych aliantów” – przeszedł do dyktatu z pozycji siły, sowieckie bezprawie wspierane terrorem dawało o sobie znać lawinowo i można je było odczuć nawet tam, gdzie Armia Czerwona nie dotarła.

Podczas gdy w okupowanym przez Sowiety kraju nastąpił kres Polskiego Państwa Podziemnego, zachodni alianci zakończyli współpracę z Rządem RP na Wychodźstwie – szczególnie wyraz „wdzięczności” dla najwierniejszego sojusznika. U boku stacjonującej na terenie pobitej Trzeciej Rzeszy Armii Amerykańskiej rozpoczęło się formowanie z Polaków oddziałów pracy oraz oddziałów wartowniczych, potocznie określanych mianem kompanii. Bezspornie najbardziej wyróżniającą się częścią kompanii wartowniczych były oddziały utworzone na bazie Brygady Świętokrzyskiej Narodowych Sił Zbrojnych.

Brygada Świętokrzyska

Podczas słynnego marszu bojowego z początku 1945 r. Brygada Świętokrzyska (BS) dotarła na tereny Czech. W pierwszych dniach maja 1945 r. jej żołnierze wspólnie z oddziałami 3. Armii Amerykańskiej gen. George’a Pattona walczyli przeciwko ostatnim stawiającym opór oddziałom niemieckim w okolicach Pilzna. W trakcie walk NSZ-owcy wyzwolili kilka miejscowości oraz obóz koncentracyjny dla kobiet w Holiszowie. Przez następne miesiące brygada stacjonowała w Czechach, stanowiąc nie formalnie – ale faktycznie – część amerykańskich sił okupacyjnych. W połowie sierpnia 1945 r. zakończyły się rozmowy pomiędzy dowództwem BS a oficerami US Army dotyczące przyszłych losów jednostki. Podczas ewakuacji sił amerykańskich z zachodnich obszarów Czech cały związek taktyczny NSZ został ewakuowany do Coburga i Karlsfeld k. Monachium, gdzie żołnierze zostali włączeni w skład kompanii wartowniczych.

Jeszcze w sierpniu 1945 r. BS wystawiła osiem kompanii roboczych. Swe korzenie podkreślano znakiem jaszczurki noszonym na prawym rękawie mundurów. Dowództwo „brygadowych” oddziałów wartowniczych ulokowano w Karlsfeld k. Dachau, a kompanie rozlokowano pomiędzy Monachium, Norymbergą a Coburgiem. W 1946 r. opierając się na BS funkcjonowało już 25 kompanii wartowniczych, które łącznie liczyły ok. 200 oficerów i 6250 szeregowych.

Świadczyć o niezgodzie na niewolę

Wyjątkowość, a zarazem odrębność kompanii budowanych na bazie BS mia-



Pułkownik Bohun-Dąbrowski dokonuje przeglądu jednej z kompanii wartowniczych w Heilbron, 1947 r.

ła związek z tradycjami bojowymi tej jednostki, strategią polityczną NSZ, ale także z permanentną nagonką na formacje NSZ, które nie uznały scalenia z AK. Niebagatelną rolę w funkcjonowaniu „brygadowych” kompanii miały też odegrać oskarżenia propagandy komunistycznej o kolaborację z Niemcami. Miało to widoczny wpływ na podejście dowództwa amerykańskiego i rezerwę, z jaką odnosiło się ono do oddziałów o „brygadowych” korzeniach. Z drugiej strony wszystkie naciski i restrykcje wzmagaly siłę kompanii. NSZ-owcy utwierdzali się w przekonaniu – jak zauważył w 1946 r., podczas wizytacji w Ośrodku Brygadowych Kompanii Wartowniczych w Marsfeld, bp polowy WP Józef Gawlina – że muszą „pozostać poza granicami Kraju, aby świadczyć o tym, że nie zgadzamy się z obecnym stanem zaistniałym w Polsce przez narzuconą przemocą niewolę”.

W ramach kompanii wartowniczych specjalną uwagę poświęcano zajęciom oświatowym i kulturalnym. Uczono języka angielskiego, uruchamiano specjalistyczne kursy. Co zrozumiałe, w oddziałach wartowniczych regularną działalność polityczną prowadzili przedstawiciele środowiska narodowego, zwłaszcza z przedwojennego Obozu Narodowo Radykalnego i Organizacji Polskiej. Starano się też oddziaływać na polskich emigrantów: prowadzono polityczną agitację w duchu ONR, propagowano hasła walki o prawdziwie wolną i niepodległą Polskę, rekrutowano młodych ludzi do tworzonych pod szyldem jaszczurki brygadowych struktur

politycznych. Podejmowano i inne wyzwania, np. jesienią 1946 r. wartownicy rekrutujący się z BS przekazali polskiemu duszpasterstwu wyremontowany kościół św. Barbary w Monachium.

Mimo psychologicznie trudnego „zastąpienia karabinu przez łopatę i miotłę”, wartownicy podtrzymywali bojową postawę, prowadzili intensywne ćwiczenia polowe. Już jesienią 1945 r. zdołano – za zgodą Amerykanów – uruchomić obóz ćwiczebny (poligon) w Marsfeld – tzw. krzaczki. W takiej sytuacji oraz w atmosferze przygotowań do nowej wojny światowej, niedawny sztab BS począł snuć



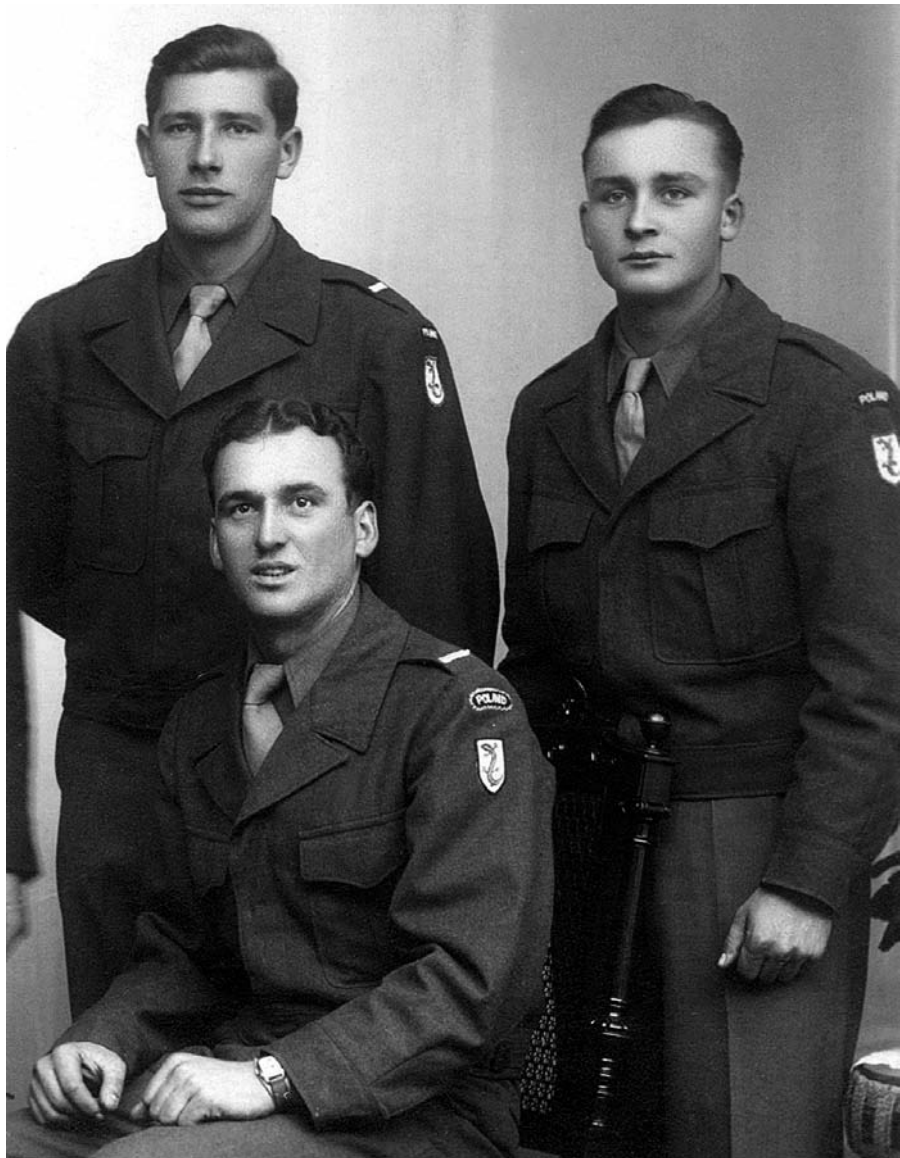
Odznaka naramienna noszona przez żołnierzy kompanii wartowniczych wywodzących się z BS NSZ 153

szerokie plany rozbudowy „swoich” formacji. Szykowano się nie tylko do stworzenia trzech brygad wartowniczych w Monachium, Norymberdze i Regensburgu, ale snuto nawet pomysł formowania „bawarskiego” Korpusu NSZ.

Dyplomatyczna kontrakcja Sowietów

Tymczasem zaszły wypadki, które ujemnie zaważyły na pozycji polskich kompanii wartowniczych. Do skutecznej dyplomatycznej kontrakcji przeszli Sowieci, których uwadze nie uszła działalność ludzi z niedawnej BŚ. Moskwie chodziło nie tylko o polskie kompanie wartownicze, lecz także o akcję polityczną NSZ i ich konspiracyjne, wywiadowcze kontakty z krajem. Sowieci już od lata 1945 r. starali się o ekstradycję BŚ, a placówki warszawskiej, komunistycznej misji wojskowej próbowały przedstawić żołnierzy Brygady jako zbrodniarzy wojennych. W rezultacie na odcinku „brygadowym” kompanii wartowniczych doszło do dymisji płk. Antoniego Bohuna-Dąbrowskiego, niedawnego dowódcy BŚ. Wieloma rozkazami z połowy lutego 1946 r. amerykańska 3. Armia ograniczyła polskie dowództwo kompanii wartowniczych, zabroniła organizować się w większe jednostki (pułki, bataliony), stosować polskie dystynkcje wojskowe, nosić odznakę jaszczurki, salutować, odbywać ćwiczenia polowe. Zmieniono nawet mundurów na czarny, starając się w ten sposób podkreślić cywilny charakter służby wartowniczej.

Odtąd zamiast dużych oddziałów – brygad wartowniczych – Amerykanie rozpoczęli tworzenie tzw. centrów, przy których istniała tylko Polska Sekcja Łącznikowa złożona z kilku oficerów. Ciosem dla polskich kompanii wartowniczych – „zapomnianej armii”, jak je określił Czesław Brzoza – okazała się także demobilizacja części sił zbrojnych USA, które dotąd stacjonowały w okupowanych Niemczech. Po prawie dwuletnim istnieniu ponad połowa polskich kompanii wartowniczych została rozformowana w lipcu 1947 r. Na wartowniczym „froncie” pozostały tzw. kompanie lotnicze – ochrona lotnisk. Ogólny stan oddziałów zmniejszył się o około 20 tys.



Żołnierze Kompanii Wartowniczej nr 4004 por. Edmunda Dachtery

ludzi. W tej sytuacji niedawni dowódcy BŚ – która była załączkiem najważniejszej i chyba najlepiej zorganizowanej grupy polskich kompanii wartowniczych – założyli Związek Byłych Wartowników.

Na zakończenie warto przypomnieć stwierdzenie Melchiora Wańkowicza, który jesienią 1945 r. odwiedził „brygadowe” ośrodki kompanii wartowniczych:

„Może właśnie oni jedni mają wyraźny, jasno wytknięty cel...?”

Kompanie wartownicze zbudowane na fundamencie NSZ cechowała bardzo dobra organizacja. Umiejętnie dbano o kadre, wyszkolenie, uzbrojenie, umundurowanie i wyekwipowanie wartowników. Morale i dyscyplina wśród polskich „strażników” zyskiwały uznanie u Amerykanów.

Z oflagu do kompanii wartowniczych

Relacja kaprała pchor. AK Włodzimierza Hermanowskiego, żołnierza kompanii wartowniczych w latach 1945–1947

„[...] Amerykanie wkrótce oznajmili, że w amerykańskiej strefie okupacyjnej zostaną utworzone cywilne kompanie wartownicze złożone z Polaków. Nie były to małe grupki, w okresach nasilenia tworzenia się tych kompanii służyło w oddziałach ponad 50 tysięcy ludzi. Tyłu ludzi było pod

bronią i tyłu Amerykanów mogło opuścić strefę okupacyjną i wrócić do swoich rodzin w Ameryce, do których im było pilno. Przyczyniliśmy się do tego, to był jeden aspekt, że jako pierwsi byliśmy przed późniejszymi udziałami polskich oddziałów współpracy z armią amerykańską wprawdzie takich paramilitarnych, bo nasze oddziały posiadały broń, ale to była broń tylko wartownicza.

Zdecydowaliśmy się przenieść ze strefy brytyjskiej do amerykańskiej

i wstąpić do oddziałów, które nie tylko noszą mundur tak jak w strefie brytyjskiej, ale i mają broń. Mieliśmy niedosyt, jako młodzi żołnierze, którzy dwa miesiące Powstania przećwiczyli wojenne, ale chcieliśmy coś zrobić dla kraju, byliśmy przeszkolonymi żołnierzami, chcieliśmy służyć z bronią w rękę. [...] Mieliśmy zakwaterowanie, wyżywienie, broń i robiliśmy użytek z tego w postaci służby przy armii amerykańskiej. Oddział, do którego ja dołączyłem, składał się z dwóch kompanii – w sumie około

400 ludzi. Pierwszą naszą kwaterą i obowiązkiem były magazyny amunicyjne w mieście Bamberg, na północ od Norymbergi. Na przedmieściu tego miasta mieliśmy kwatery i zadanie pilnowania tych magazynów. [...]

Następnym etapem dla naszych oddziałów wartowniczych była Norymberga [...]. Kwaterowaliśmy w koszarach niemieckich, 15 minut dojazdu tramwajem od Pałacu Sprawiedliwości, w którym toczył się proces norymberski. Często żeśmy tam przejeżdżali i z satysfakcją myśleliśmy, że po przegranych bitwach, po przegranej wrześniu, po przegranej Powstaniu doczekaliśmy się momentu, kiedy niemieccy oprawcy są sądzeni jako zbrodniarze i wykonany został na nich wyrok. [...]

My, w kompaniach wartowniczych, wojsko to wojsko, służyliśmy i opiekowaliśmy się magazynami amunicyjnymi i nie obeszło się bez ofiar. W tym czasie, kiedy ja byłem tam, a w 1947 roku wracałem do kraju, więc niedługi okres, w naszych oddziałach był jeden wypadek śmiertelny i trzech rannych, którym udzielono pomocy szpitalnej. Wszystko to były wypadki nie z bronią, ale z amunicją, której żeśmy pilnowali. Taki jest zawód żołnierski. Nasz dowódca bardzo zalecał i sprawdzał, żeby żołnierze nie bawili się bronią i takiego przypadku u nas nie było, żeby się chłopcy postrzelali niechcący, dyscyplina pod tym względem była. [...]

Poza obowiązkami wartowniczymi dowódca naszego zgrupowania wezwał grupę podchorążych, do których i ja należałem, i powiedział: »Panowie podchorążowie, macie normalną służbę, ale od was wymagamy jeszcze czegoś dodatkowego.



Żołnierze kompanii wartowniczych w mundurach zimowych, 1946 r.

Oprócz was i innych żołnierzy z Powstania, którzy służą w naszej kompanii mamy w kompanii sporą ilość młodych żołnierzy, którzy zostali zabrani jako bardzo młodzi ludzie do pracy w Niemczech i oderwani od nauki w szkole. Jako piętnasto-szesnastoletni ludzie wysłani na roboty i za sobą mają wykształcenie w zakresie dwóch, trzech oddziałów szkoły podstawowej. Tak nie może być. Musimy z nich zrobić ludzi, którzy będą mogli kandydować na przyzwoitych, wykształconych obywateli. Będziecie tych ludzi uczyć. Musicie zaewidencjonować, jakich mamy, niektórzy wręcz analfabeci, niektórzy z początkami zaledwie szkoły podstawowej, podzielić na grupy i uczyć«.

Przez rok mieliśmy obok obowiązków regulaminowych zajęcia nauki tych ludzi. Dumny jestem z etosu Powstania Warszawskiego i mojego udziału w nim, dumny jestem również z tego, że ja i moi koledzy przyłożyli się do tego, żeby grupa młodych Polaków pozbawionych nauki została poduczona na tyle, na ile pozwalały nasze warunki. Nie mieliśmy podręczników, wszystko trzeba było robić z głowy. [...] Zrobiliśmy naprawdę kawałek przyzwoitej roboty na tamtym terenie i ci ludzie, którzy zostali czy wrócili do kraju, nie musieli się wstydzić swojej umiejętności pisania, czytania i jakiejś oglądy cywilnej, którą uzyskali dzięki temu, co żeśmy robili!». ■

W kompanii wartowniczej

Relacja pchor. NSZ Kazimierza Karlsbada, żołnierza kompanii wartowniczych w latach 1946–1948

„Umundurowanie mieliśmy amerykańskie, tyle że czarne, a nie khaki. Uzbrojenie też: takie same wielostrzałowe automatyczne karabinki. Kwaterowaliśmy dość wygodnie w opróżnionym na ten cel budynku szkolnym. Odgórne dowództwo należało oczywiście do Amerykanów, ale na co dzień kompanią dowodzili oficerowie Polacy: kapitan i dwu poruczników, wszyscy trzej weterani obozu jenieckiego dla oficerów z 1939 roku.

Kompanie wartownicze, tak zwane po polsku, były w oczach Amerykanów nie jakimś wojskiem, lecz zwykłą służbą pracy (Labor Service). Nie wymagano od nich wojskowych rygorów i kaprałskich wygłupiań się, praktykowanych przez niektórych, niestety, polskich oficerów. Jeśli chodzi o element ludzki w kompaniach, w większości byli to Polacy (innych narodowości nie przyjmowano), których wywieziono na roboty

do Niemiec i do tej pory, albo jeszcze czekali na wyjazd na emigrację, albo byli, często z błahych powodów, odrzućeni przez różne emigracyjne komisje. Wielu z nich założyło rodziny, często zenając się z tuziemkami.

Życie towarzyskie na terenie kompanii ograniczało się do gry w pokera lub dyskusji, co można kupić w amerykańskim sklepie PX za »skryptowe« dolarzy, które stanowiły część naszej płacy. Jeden z miejscowych weteranów, który służył w kilku kompaniach, między innymi we Francji, a teraz zajmował uprzywilejowane stanowisko szofera dowódcy kompanii, opowiadał mi wiele o różnych spelunkach paryskich, które jakoby zwiedzał. Kiedyś spytałem go, czy był w Notre Dame lub w Luwrze, ale nie bardzo wiedział, o czym mówię. Był tak »zmotoryzowany«, że przestrzeń około 20 metrów między budynkami naszych koszar przebywał za wsze swoim jeepem. [...]

W połowie lata ogłoszono formację jednostki, która miała pojechać na służbę

we Francji, i szukano ochotników bez rodzinnych powiązań w Niemczech. Ponieważ i tak nie miałem wtedy prawa do emigracji, a Francja, jak by nie było, była krajem normalnym, a nie okupowanym, więc otwierały się pewne perspektywy na przyszłość. Zresztą życie we Frankfurcie było tak jałowe i nieobiecujące, że bez wahania zapisałem się do nowej formacji.

Pierwszy postój naszej nowej kompanii był w Kaiserslautern, a właściwie w pobliżu tego miasta, w południowo-zachodnich Niemczech, gdzie mieściła się olbrzymia amerykańska baza materiałowa i amunicyjna. Wielohektarowy teren sosnowego lasu był ogrodzony wysokim płotem z drutów kolczastych i pilnowany przez kilka kompanii Polaków z bronią automatyczną i wilczurami na smyczach.

Z terenu tego można się było wydalać tylko za przepustką, ale za to wszystko, co potrzebne do względnie wygodnego życia w połowych warunkach, było na miejscu, włączając kantinę z pierwszorzędnym menu, prysznic z gorącą wodą i bezpłatne kino czynne przez cały

dzień. Była tam też kaplica polowa i bardzo przyjemny ksiądz Polak, również w kompanijnym mundurze. Podczas dwutygodniowego pobytu na tym »depo«, miałem niejednokrotnie służbę, pilnując ułożonych w lesie pod plandekami stosów bomb, pocisków artyleryjskich i kanistrów z benzyną. Miejscami stały całe rzędy krytych ciężarówek, już załadowanych i gotowych do jazdy.

Po uzupełnieniu stanów ilościowych i ekwipunku, nasza kompania pojechała dalej, wprowadzając nie do Francji, ale do strefy francuskiej. Stanęliśmy biwakiem w lesie [...] Pierwszą noc na nowym miejscu spędziliśmy w tak zwanych psich budach, to jest namiotkach na dwie osoby. Każdy z nas miał w plecaku połowę takiego namiotu. Było już późno i kucharz wydzielił tylko suchy prowiant na kolację. Nie znaczy to, że ktoś poszedł spać głodny. Standardowa porcja suchego amerykańskiego prowiantu składała się z kilku sucharków, porcji masła, porcji dżemu, małej puszki z pieczonym kurczakiem, kawałka czekolady, porcji kawy w proszku, soku w proszku, cukru, soli, czterech papierosów, zapatek i papieru toaletowego.

Następnego dnia ustawiliśmy duże wojskowe namioty i łóżka polowe. Zaczęła funkcjonować kuchnia polowa, umywalnia, latryny i elektryczność. Za dwa dni nadjechała kompania amerykańskich saperów, którzy najpierw ogrodzili teren na skład amunicji, a potem zbudowali baraki do zakwaterowania naszej kompanii i niewielkiego personelu amerykańskiego. Zaczęła się znów ta sama nudna służba wartownicza, tyle że już nie trzeba było być rozwodzonym po różnych punktach wielkiego miasta. Wszystko było na miejscu »na rzut kamieniem«. Wybawiły mnie od znużenia się kłopoty z kontrolowaniem naszych chłopców na wychodnym w miasteczku.

Nieduże było to miasteczko, ale był tam garnizon francuski złożony częściowo z wojsk marokańskich. Francuzi trzymali swe wojsko, zresztą dość podłe płatne nawet w porównaniu z nami, w dość surowym rygorze. Nasi zaś chłopcy, ubrani w czarne mundury, które wywoływały strach u miejscowych Niemców (pewnie na skutek wspomnień z czasów Hitlera), rozbijali się, zwłaszcza po pijanemu, z prawdziwie amerykańską beztrąską.

Dla uniknięcia zniszczenia i dawania złego przykładu żołnierzom francu-



Żołnierze kompanii wartowniczych w obozie treningowym Marsfeld, 1946 r.

skim, miejscowy komendant garnizonu, korzystając z kurtuazyjnej wizyty, którą złożyli mu nasi – amerykański i polski – dowódcy, taktownie poinformowali ich, że zabronił swej żandarmerii polowej wtrącać się do nas, ale zażądał, żebyśmy stworzyli swój patrol MP (Military Police), który z kolei dopilnuje zachowania się naszych ludzi. Dostaliśmy również listę restauracji i barów w miasteczku, które były dozwolone dla personelu alianckiego. Dodatkową uprzejmością było, że pozwolono nam korzystać z pewnych urządzeń rozrywkowych armii francuskiej, jak bezpłatne kino, no i specyficzny dla tej armii, dom publiczny. »Publiczność« tej instytucji ograniczała się do wojsk francuskich, z tym, że dzięki »gościnności« tego zaprzyjaźnionego z nami narodu, jedno popołudnie w tygodniu było zarezerwowane wyłącznie dla naszych chłopców.

Ja to właśnie zostałem dowódcą naszego patrolu MP. Miałem pod swoją komendą trzech najsilniejszych typów w kompanii, wybór samego sierżanta. Normalne umundurowanie uzupełniały: biały hełm z literami MP z frontu, białe rękawiczki (od parady tylko) i białe kamasze spinające spodnie, no i w najlepszej amerykańskiej tradycji, długie drewniane pały na wypadek, kiedy inne środki perswazji nie skutkowały. Broń boczną (masywny colt kali-

bru 45) zacząłem nosić dopiero od czasu, gdy wraz ze swym patrolom musiałem ratować jednego z naszych oficerów od zlinczowania przez wdzięcznych podkomendnych. Na jego i ich szczęście mój patrol miał właśnie ruszyć na miasto oddalone o kilka kilometrów, kiedy usłyszeliśmy wrzask. W ruch poszły nasze pały, miejscowy medyk miał potem trochę roboty, ale porucznik ocalał. Tyle tylko, że moi chłopcy i ja przenieśliśmy się po tym incydencie na kwatery do baraku dowództwa.

Nowa służba, wprowadzając intelektualnie niezbyt absorbująca, była niemniej dużo ciekawsza niż pilnowanie z bronią w rękę stosów bomb ułożonych w lesie. Moje godziny pracy rozpoczynały się o godz. 5-tej po południu, kiedy duża kryta ciężarówka zabierała do miasta tych, co mieli jeszcze pieniądze i dostali przepustki. Mój patrol wyposażony w półciężarówkę »Dodżkę« patrolował wszystkie »lokale« miasteczka, włączając kino i dom publiczny w dniach »dowolnych«. Likwidował on też, o ile to możliwe, każdą zaczynającą się burdę, bez ceremonii wrzucając winnych na »Dodżkę« i odwożąc ich »do domu«, by się wyspali. O północy trzeba było przypilnować, by wszyscy pozostali załadowali się na ciężarówkę jadącą do miejsca postoju kompanii".

Życiorys niedokończony

Rafał Sierchuła,
OBEP IPN Poznań

W piśmie z dnia 23 stycznia 1951 r. prezes Najwyższego Sądu Wojskowego, płk Wilhelm Świątkowski pisał: „Zawiadamiam, że obywatel Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej decyzją z dnia 22.01.1951 r. nie skorzystał z prawa łaski w stosunku do Zientala Bronisława [...] pole-

cam zarządzić bezwzględnie wykonanie kary śmierci”.

Bronisław Ziental jest jedną z wielu zapomnianych ofiar komunistycznego terroru. Podczas przesłuchania w 1947 r. w WUBP w Kielcach następująco przedstawiał swoją działalność konspiracyjną.

Życiorys dla ubeków

Urodził się 23 stycznia 1924 r. w Kraśnicy pow. Włoszczowa, w rodzinie Stanisława i Stanisławy z domu Klimczyk. Wykształcenie – szkoła powszechna i 3 klasy gimnazjum. Podporucznik z partyzantki, kawaler. W marcu 1944 r. miał wstąpić do oddziału partyzanckiego AK „Marcina” (Marcina Tarchalskiego

go) we Włoszczowie. Wkrótce jednak, jak twierdził, opuścił oddział, ponieważ ten „współpracował z obszarnikami wymierzając chłostę chłopom”(sic!) – co musiało miło zabrznieć w ubeckim uchu. W Małogoszczy dołączył do oddziału partyzanckiego NSZ „Bema” (Stanisława Grabdy). Wówczas też przyjął ps. „Dąb” i został drużynowym. Z Małogoszczy oddział udał się w Opawskie. Tam 9 czerwca 1944 r. brał udział w koncentracji oddziałów NSZ w Mirogonowicach pod dowództwem mjr. „Kazimierza” (Eugeniusza Krenera). Następnie do wybuchu powstania warszawskiego Ziental został łącznikiem między oddziałami partyzanckimi Kielecczyny a Delegaturą Sił Zbrojnych w Kraju. Pod Warszawą miał też jakoby zostać awansowany na podporucznika i odznaczony Krzyżem Virtuti Militari. We wrześniu 1944 r. przydzielono go do BS, do kompanii por. „Boba” (Edmund Bobrowski), z której rzekomo zdezerterował 28 listopada 1944 r.

Między młotem a swastyką

Według dokumentów i świadectw członków NSZ Bronisław Ziental ps. „Dąb” swoją konspiracyjną działalność prowadził w szeregach NSZ. Był członkiem patrolu Akcji Specjalnej, a potem należał do oddziału partyzanckiego NSZ „Żbika” (Władysława Kołacińskiego). Był też w grupie tropiącej oddział, a właściwie grupę rabunkową AL Stanisława Olczyka „Garbatego”. 26 lipca 1944 r. pod Olesznem w walce z oddziałami SS został ranny. Przewieziono go wtedy do szpitala polowego oddziału AK „Marcina” w Krogulcu. „Wracając, zatrzymujemy się w szpitalu – wspomina Robert Cwikło – gdzie leżą nasi ranni koledzy. Widok jest przygnębiający... Dwie sanitariuszki krzątają się przy rannych, zmieniając przesiąknięte krwią opatrunki”.

Wkrótce wrócił do BS i był kilkakrotnie wymieniany w rozkazach dziennych. 10 listopada 1944 r. odznaczono go Krzyżem Walecznych, 24 grudnia 1944 r. otrzymał awans na sierżanta. W styczniu 1945 r. wyruszył z Brygadą na Zachód, ku wojskom alianckim. W marcu, jako dowódca drużyny, uczestniczył w kursie dla rekrutów. Podczas postoju Brygady w Czechach, w miejscowości Rozstani odkomenderowany został na kurs specjalny, który miał przygotowywać ochotników do przetrzutu drogą lotniczą do Pol-

Oczywiście oddział „Marcina”, w większości składający się z żołnierzy chłopskich, zajmował się przede wszystkim obroną ludności cywilnej, swojego zaplecza aprowizacyjnego, przed niemieckimi represjami i bandami rabunkowymi. Trudno więc wierzyć w zmyśloną historię o obszarnikach i chłostach. Również sprawa Delegatury Sił Zbrojnych to wymyślona na potrzeby UB legenda – Delegatura powstała dopiero w 1945 r. jako kontynuacja struktur akowskich, lecz oddziały NSZ, jako niepodporządkowane AK i Delegaturze Rządu RP nie miały z nią kontaktu. Nasuwa się więc jedno pytanie – jak było naprawdę?

ski. Po ukończeniu kursu pozostał jednak w Brygadzie. Razem z nią w kwietniu 1945 r. wyzwolił obóz koncentracyjny dla kobiet pod Holiszowem i wraz z całą jednostką przedostał się do amerykańskiej strefy okupacyjnej. Przebywał w Czechach, by w końcu 6 sierpnia 1945 r. po rozbrojeniu Brygady przez Amerykanów jako żołnierz Kompanii Wartowniczych trafić do Bawarii. Jednak ze względu na zły stan zdrowia został zwolniony z kompanii. Wrócił do kraju.

Na kurierskim szlaku

Kwestią niewyjaśnioną pozostaje, czy zwolnienie nie było tylko zasłoną dymną, a on sam nie miał wyjechać do Polski jako kurier lub wywiadowca. Ostatnie lata życia Zientali dokumentują tylko materiały śledcze, a sierżant „Dąb” rozmyślnie i skutecznie gubił tropy i wątki.

Według zeznań Ziental prawie cały 1945 r. spędził jako magazynier Komendy Wojewódzkiej MO we Wrocławiu, gdzie zatrudnił się na rozkaz dowódcy miejscowego WiN, por. „Janka” (NN). W grudniu 1945 r. z jego rozkazu udał się do dowództwa II Korpusu w Ankonie. Przez Czechosłowację i Austrię przedostał się do Włoch. Tam miał przekazać tajne meldunki wywiadowcze gen. Zygmuntowi Bohusz-Szyszko. Po wypełnieniu misji pojechał pod Norymbergę do Kompanii Wartowniczych. Objął tam funkcję dowódcy plutonu w Kompanii 4100. Z rozkazu płk. „Bohuna”, swego dowódcy z BS, w maju 1946 r. wyruszył w drogę powrotną do kraju, udając jeńca AK z powstania warszawskiego. Jego zadaniem miało być nawiązanie kontaktów z oddziałem NSZ „Szarego” na Kielecczynie. W lipcu 1946 r. po raz kolejny przybył do Norymbergi i znów pełnił funkcję dowódcy plutonu w Kompanii Wartowniczej. Powrócił do Polski w grudniu 1946 r. jako Bronisław Dąbek. Korzystając z amnestii, ujawnił się 27 lutego 1947 r. w PUBP we Włoszczowie.



Bronisław Ziental w mundurze kompanii wartowniczych

W styczniu 1949 r. zorganizował grupę zbrojną – Polskie Katolickie Siły Zbrojne. Organizacja działała na terenie województwa kieleckiego. W maju 1949 r. przybył do Szczecina, aby organizować tam kanał przerzutowy na Zachód. Tam 21 lipca aresztowano go. Dwa miesiące później „Dąb” podjął nieudaną próbę ucieczki z aresztu śledczego WUBP, próbując udusić oddziałowego aresztu. Wyrok w jego sprawie ogłoszono 13 października 1950 r. W poniedziałkowy poranek 30 stycznia 1951 r. Bronisława Zientala zabito strzałem w tył głowy na mocy wyroku Wojskowego Sądu Rejonowego w Szczecinie. Po 1956 r. nie został rehabilitowany.

Być może nigdy nie zostanie ustalona prawdziwa historia Bronisława Zientala vel Dąbka, vel Zawadzkiego, alias Jarońskiego, ps. „Dąb”, „Groźny”. Pozostają tylko tropy, ślady i niejasności wydobyte z materiałów archiwalnych po 56 latach. ■

Wyrażamy podziękowania za pomoc, jaką uzyskaliśmy od Panów: Raymonda Zawalski (IMCOM-Europe, Human Resources Division), Siegberta Manna (autora portalu internetowego poświęconego historii kompanii wartowniczych www.usfava.com/LaborService), Huberta Kuberskiego (historyka wojskowości).

Wszystkie osoby mające informacje lub pamiętki związane z udziałem Polaków w kompaniach wartowniczych prosimy o kontakt: w Warszawie z Wojciechem Muszyńskim – Biuro Edukacji Publicznej IPN (Centrala) lub Rafałem Sierchułą (Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN w Poznaniu).

Redakcja – Rafał Sierchuła, Wojciech Muszyński

Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa

Biuro Edukacji Publicznej IPN, ul. Hrubieszowska 6a, 01-209 Warszawa
tel. 022 431 83 83, 022 431 83 86

Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej w Poznaniu, ul. Rolna 45a, 61-487 Poznań
tel. 061 835 69 00, faks 061 835 69 56

Sprzedaż wydawnictw własnych – Gospodarstwo Pomocnicze IPN
tel. 022 581 88 20, 022 581 88 72

Więcej informacji o działalności Instytutu Pamięci Narodowej: www.ipn.gov.pl